

BIBLIOTECKA UNIWERSYTETÓW
LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

18

HENRYK SIENKIEWICZ

LUX IN TENEBRIS LUCET
—
BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

163

BIBLIOTEKAZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

1. KONOPNICKA M. Dym. Wyd. 10	0:35
2. KONOPNICKA M. Banasiowa. Wyd. 8	0:35
3. KONOPNICKA M. Nasza szkapa. Wyd. 12	0:80
4. KONOPNICKA M. Niemczaki. Wyd. 8	0:35
5. ŻEROMSKI ST. Siłaczka. — Na pokładzie. Wyd. 7	0:60
6. PRUS B. (Aleks. Głowacki). Antek. Wyd. 9	0:50
7. PRUS B. Na wakacjach. — Katarynka. Wyd. 8	0:50
8. ORZESZKOWA E. Siteczko. — Czy pamiętasz? Wyd. 7	0:60
9. ORZESZKOWA E. Babunia. Wyd. 6	0:50
10. ORZESZKOWA E. Ogniwa. Wyd. 5	0:60
11. ORZESZKOWA E. Panna Antonina. Wyd. 5	0:65
12. ORZESZKOWA E. A. B. C. Wyd. 9	0:60
13. SIENKIEWICZ H. Janko Muzykant. — Latarnik. Wyd. 14	0:60
14. SIENKIEWICZ H. Wspomnienia z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły. Wyd. 6	0:70
15. SIENKIEWICZ H. Bartek Zwycięzca. Nowela. Wyd. 10	1—
16. GALLE H. Czytanki polskie dla Uniwersytetów Ludowych. I. Wyd. 3	0:90
17. GALLE H. Czytanki polskie dla Uniwersytetów Ludowych. II. Wyd. 3	0:95
18. SIENKIEWICZ H. Lux in tenebris lucet, Bądź błogosławiona	
19. REYMONT WŁ. ST. W porębie. — Przy robocie. Wyd. 3	0:40
20. REYMONT WŁ. ST. Tomek Baran. Wyd. 3	0:50
21. REYMONT WŁ. ST. Pewnego dnia. Wyd. 4	0:60
22. JUNOSZA KL. Łaciarz. — Froim. Wyd. 2	0:70
23. KRASZEWSKI J. I. Łoktek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu. Wyd. 3	0:25
24. KRASZEWSKI J. I. Upiór. Wyd. 2	0:40
25. KRASZEWSKI J. I. Zdziennika starego dziada. Wyd. 3	
26. KRASZEWSKI J. I. Profesor Milczek. — Rejent Wątróbka. Wyd. 2	0:25
27. KRASZEWSKI J. I. W oknie. — Nauczyciele sieroty. Wyd. 2	0:40
28. RZEWUSKI H. Kazanie konfederackie. Ksiądz Marek. — (Z pamiętek J. Pana Seweryna Soplicy). Wyd. 2	0:25
29. RZEWUSKI H. Tadeusz Rejtan. (Z «Pamiętek J. Pana Seweryna Soplicy»). Wyd. 3	0:25
30. RZEWUSKI H. Sawa. — Pan Borowski. (Z «Pamiętek J. Pana Seweryna Soplicy»). Wyd. 2	0:40
31. SIENKIEWICZ H. Pieszo przez Czarny Łąd. (Listy z Afryki) I. Wyd. 3	0:50

BIBLIOTECHKA UNIWERSYTETÓW 18
LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

HENRYK SIENKIEWICZ

LUX IN TENEBRIS LUCET

BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA



51E.

LUX

163

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1931

LUX IN TENEBRIS LUCET.¹⁾

Przychodzą czasem jesienią, zwłaszcza w listopadzie, dni tak wilgotne, ciemne i posępne, że nawet zdrowemu człowiekowi życie się przykrzy. Od czasu, jak Kamionka uczuł się niezdrów i przestał pracować nad posagiem «Miłosierdzia», niepogoda taka dokuczała mu więcej od samej choroby. Co rano, zwlókłszy się z łóżka, przecierał spotniałe wielkie okno pracowni i spoglądał do góry, w nadziei, że zobaczy choć skrawek błękitnego nieba; ale co rano czekał go zawód. Ciężka ołowiana mgła wisiała nad ziemią; deszcz nie padał, a mimo tego nawet brukowe kamienie na podwórzu wyglądały, jak gąbki nasiąkłe wodą; wszystko było mokre, oślizgłe, przejęte nawskróś wilgocią, której pojedyncze krople, spadając z zagięcia rynien, dzwoniły z jakąś rozpaczliwą jednostajnością, jakby odmierzając ów wlokący się leniwie czas smutku.

Okno pracowni wychodziło na podwórze, zakończone ztyłu ogrodem. Trawa za sztachetami zieleń się jeszcze jakąś chorą zielonością, w której

¹⁾ Wyjątek z Ewangelji św. Jana (I, 5): «Lux in tenebris lucet, et tenebrae eam non comprehenderunt». — «Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły».

tkwiła śmierć i zgnilizna; ale drzewa z resztkami żółtych liści, o gałęziach czarnych od wilgoci, a zarazem nieco zatartych przez mgłę, wydawały się już zupełnie obumarłe. Co wieczór rozlegało się między niemi krakanie wron, które z lasów i pól ścigały już na zimowe leże do miasta i z wielkiem łopotaniem skrzydeł sadowiły się na nocleg wśród konarów.

Pracownia w podobne dni stawiała się tak ponura, jak kostnica. Marmur i gips potrzebują błękitu, w takim zaś ołowianem oświetleniu, białość ich miała w sobie coś żalobnego; postacie z ciemnej terrakoty,¹⁾ tracąc wszelką wyrazistość linii, zmieniały się w jakieś kształty nieokreślone i prawie straszne.

Brud i nieład dodawały smutku pracowni. Na podłodze leżał grubą warstwą kurz, utworzony z rozdeptanych okruchów zeschłej terrakoty i z błota, naniesionego z ulicy. Ściany były mroczne, przybrane tylko tu i owdzie gipsowemi modelami rąk i nóg; zresztą puste; niedaleko od okna wisiało małe lustro, nad niem czaszka końska i bukiet makartowskich kwiatów,²⁾ zupełnie poczerniały od kurzu.

W kącie stało łóżko pokryte koldrą starą i pomiętą, przy niem szafka nocna z żelaznym lichtarzem. Kamionka przez oszczędność nie trzymał osobnego mieszkania i sypiał w pracowni. Zwy-

¹⁾ Terrakota = rodzaj gliny t. zw. kaflowej, wypalanej, o barwie czerwonej; ²⁾ «bukiet makartowskich kwiatów» = bukiet z traw suszonych, niekiedy pomalowanych; (nazwa od Jana Makarta (1840—1884), malarza wiedeńskiego).

czajne łóżko zasłonięte było parawanem, ale teraz parawan był odstawiony, w tym celu, by choremu łatwiej było spoglądać w okno, leżące wprost jego nóg, i patrzeć, czy się nie wypogadza. Drugie, jeszcze większe okno, wycięte w pułapie pracowni, było tak pokryte zewnątrz kurzem, że nawet w jasne dni wchodziło przez nie światło szare i smutne.

Nie wypogadzało się jednak. Po kilku dniach ciemności chmury zniżyły się zupełnie, powietrze nasiąknęło do reszty wilgotną, ciężką mgłą, i uczyniło się jeszcze ciemniej. Kamionka, który dotychczas pokładał się tylko na łóżku w ubraniu, uczuł się gorzej, więc rozebrał się i położył na dobre.

Właściwie mówiąc, nie był on tyle chory na jakąś określoną chorobę, ile przygnębiony, zniechęcony, wyczerpany i smutny. Ogólne osłabienie ścięło go z nóg. Nie miał ochoty umrzeć, ale też nie czuł w sobie sił do życia.

Długie godziny mrocznego dnia wydawały mu się tem dłuższe, że nie miał przy sobie nikogo. Żona jego umarła przed laty dwudziestu, krewni mieszkali w innej części kraju, a z kolegami nie żył. W ostatnich latach znajomi poodsuwali się od niego, z powodu coraz wzrastającej w nim zgryźliwości. Z początku to jego usposobienie bawiło ludzi, ale następnie, gdy stawał się coraz większym dziwakiem, i gdy każdy żart począł w nim budzić długotrwałą urazę, nawet najbliżsi pozrywali z nim stosunki.

Brano mu także za złe, że z wiekiem stał się pobożnym, i podejrzewano jego szczerość. Złośliwi mówili, że przesiaduje po kościołach dlatego, by przez stosunki z księżmi wyrobić sobie zamówienia

do kościołów. Nie była to zresztą prawda. Pobożność jego nie płynęła może z głębokiej i spokojnej wiary, ale była bezinteresowna.

Co jednak dawało pozory słuszności posądzeniom, to wzmagające się coraz bardziej w Kamionce skąpstwo. Od kilku lat zamieszkał przez oszczędność w pracowni; żywił się, Bóg wie czem, i zrujnował sobie zdrowie do tego stopnia, że wkońcu twarz jego stała się tak przeźroczysta i żółta, jakby była ulepiona z wosku. Ludzi unikał także i dlatego, by czasem nie zażądał kto od niego jakiegokolwiek przysługi.

Wogóle był to człowiek z charakterem¹⁾ zwichniętym, zgorzkniały i nadzwyczaj nieszczęśliwy. A jednak nie była to natura z gruntu pospolita, gdyż nawet wady jego miały właściwe sobie artystyczne cechy. Ci, którzy sądzili, że przy swem skąpstwie musiał zebrać znaczny majątek, mylili się. Kamionka był naprawdę człowiekiem ubogim, albowiem wszystko, co posiadał, wydawał na akwaforty,²⁾ których miał całą tekę na dnie szafy, a które od czasu do czasu przeglądał i liczył z ostrożnościami i chciwością lichwiarza, liczącego pieniądze. Z zamilowaniem tem ukrywał się jak najstaranniej, może właśnie dlatego, że wyrosło na gruncie wielkiego nieszczęścia i wielkiego uczucia.

Raz, mniej więcej w rok po śmierci żony, zobaczył u antykwariusza stary sztych,³⁾ wyobrażający

¹⁾ Charakter — tu życie wewnętrzne, duchowe;

²⁾ akwaforta = odbitka rysunku, chemicznie wytrawionego na płycie miedzianej; ³⁾ sztych = rycina, ryta na miedzi lub stali.

Armide¹⁾ — i w twarzy Armidy dopatrzył się podobieństwa do twarzy swej zmarłej. Sztych ten nabył zaraz i od tej pory począł szukać miedziorytów, z początku przedstawiających tylko Armidy, następnie, w miarę jak zamiłowanie w nim wzrastało — i wszelkich innych.

Ludzie, którzy stracili istoty bardzo kochane, muszą zaczepić życie o byle co, inaczej nie mogliby istnieć. Co do Kamionki, niktyby się nie domyślił, że ten podstarzały dziwak i egoista kochał niegdyś nad życie swoją żonę. Prawdopodobnie też, gdyby nie była umarła, życie jego popłynęłoby pogodniej, szerszej i bardziej po ludzku. Bądź co bądź, miłość ta przeżyła w Kamionce i jego szczęśliwe czasy, i jego młodość, i nawet jego talent.²⁾

Pobożność, która z biegiem lat zmieniła się w nim na zwyczaj, polegający na zachowywaniu form zewnętrznych, wypłynęła również z tego samego źródła. Kamionka, nie należąc do ludzi głęboko wierzących, począł jednak po śmierci żony modlić się za nią, bo mu się zdawało, że to jest jedyna rzecz, którą może dla niej uczynić, i że w ten sposób jeszcze go jakaś nić z nią łączy.

Natury pozornie zimne umieją często kochać i nader mocno, i trwale. Po śmierci żony całkowite życie Kamionki i wszystkie jego myśli owinęły się koło wspomnienia o niej i czerpały z niego pokarm, zupełnie jako pasorzytna roślina czerpie pokarm

¹⁾ Armida = postać kobieca z poematu p. t. «Jerozolima wyzwolona» Torquata Tassa. Armida, dzięki swojemu urokowi, zdołała uwieść pięknego Rinalda; ²⁾ zdolności twórcze.

z pnia, na którym żyje. Ale z tego rodzaju wspomnień roślina ludzka może czerpać tylko zatrute soki, złożone z żalu i ogromnego zmartwienia, więc też i Kamionka zatruwał się, krzywił i marniał.

Gdyby nie był artystą, prawdopodobnie nie przeżyłby swej straty, ale powołanie ocaliło go w ten sposób, że po śmierci żony począł rzeźbić dla niej pomnik. Próżno żywym mówić, że dla umarłych wszystko jedno, w jakich grobach leżą. Kamionka chciał, by jego Zosi było tam pięknie — i pracował nad jej pomnikiem tyle samo sercem, ile rękoma. To sprawiło, że przez pierwsze pół roku nie dostał pomieszanego zmysłu i że zżył się z rozpaczą.

Człowiek pozostał zwichnięty i nieszczęśliwy, ale sztuka ocaliła artystę. Od tej pory Kamionka istniał przez nią. Ludzie, którzy po galerjach przypatrują się obrazom i posagom, nie domyślają się, że artysta może służyć sztuce uczciwie lub nieuczciwie. Pod tym względem Kamionka był bez zarzutu. Nie miał on skrzydeł u ramion, posiadał tylko talent nieco wyższy nad średnią miarę, i może dlatego sztuka nie zdołała mu ani wypełnić życia, ani wszystkich strat nagrodzić — ale ją głęboko szanował i zawsze był względem niej szczery. Przez długie lata swego zawodu nie oszukał i nie ukrzywdził jej nigdy, ani dla sławy, ani dla pokupu, ani dla pochwał, ani dla przygan. Tworzył zawsze tak, jak czuł. Za swych szczęśliwych czasów, gdy żył, jak każdy inny człowiek, umiał rozpowiadać o sztuce rzeczy zupełnie nie powszednie, a i potem, gdy już poczęto od

niego stronić, rozmyślał nieraz o niej w swojej samotnej pracowni w sposób uczciwy i wysoki.

Czuł się ogromnie opuszczony, ale nie było w tem nic dziwnego. Stosunki ludzkie muszą mieć jakąś średnią modłę,¹⁾ na mocy której ludzie wyjątkowo nieszczęśliwi bywają z życia wyłączani. I z tej samej przyczyny porastają tak dziwactwem i wadami, jak kamień wyrzucony z potoku porasta mchem, gdy przestanie ocierać się o inną. Teraz, gdy Kamionka zachorował, żadna żywa dusza nie zajrzała do jego pracowni, z wyjątkiem posługaczki, która dwa razy dziennie przychodziła nastawić i podać mu herbatę. Za każdym przyjściem radziła mu, aby wezwał lekarza, lecz on, bojąc się wydatku, nie chciał się na to zgodzić.

Nakoniec zesłabł bardzo, może dlatego, że nic nie brał do ust, prócz herbaty. Ale on do niczego nie miał już ochoty, ani do jedzenia, ani do pracy, ani do życia. Myśli jego były tak zwiędłe, jak owe liście, na które spoglądał przez okno, i odpowiadały zupełnie tej jesieni, tej słocie i tym ołowianym ciemnościom. Niema gorszych chwil na świecie, nad takie, w których człowiek czuje, że czego miał dopełnić, to już dopełnił, co miał przeżyć, to przeżył i że mu się już nic w życiu nie należy. Kamionka od lat blisko piętnastu żył w ciągłym wewnętrznym niepokoju, że jego talent wyczerpuje się. Obecnie był tego pewien i z goryczą myślał, że nawet i sztuka go opuszcza. Czuł przytem wyczerpanie i znużenie w każdej kości. Nie spodziewał się rychłej śmierci,

¹⁾ Modła = sposób, miara.

ale nie wierzył w swój powrót do zdrowia. Wogóle nie było w nim ani jednej iskry nadziei.

Jeśli sobie jeszcze czegoś teraz życzył, to chyba tego, by się wypogodziło i by słońce zaświeciło w pracowni. Sądził nawet, że w takim razie nabrałby może jakiegokolwiek otuchy. Zawsze był on szczególnie wrażliwy na słotę, ciemności, zawsze takie dni powiększały jego smutek i pogńębienie, a cóż dopiero teraz, gdy ów czas, jak go Kamionka nazywał: beznadziejny, przyszedł w towarzystwie choroby!

Co rano też, gdy posługaczka przychodziła z herbatą, Kamionka pytał:

— A nie przeciera się tam gdzie po brzegach?

— Ale! — odpowiadała stróżka: — mgła taka, że człowiek człowieka nie widzi.

Chory, usłyszawszy odpowiedź, przymykał oczy i pozostawał długie godziny bez ruchu.

Na podwórzu było ciągle cicho, tylko krople deszczu dzwoniły równo i jednostajnie w rynnach.

O godzinie trzeciej po południu robiło się już tak ciemno, że Kamionka musiał zapalać świecę. Z powodu osłabienia przychodziło mu to z niemałą trudnością. Naprzód, nim sięgnął po zapalki, namyślał się czas dłuższy; potem wyciągał leniwie ramiona, których chudość, widoczna przez rękawy koszuli, napelniała go jako rzeźbiarza wstrętem i goryczą; potem, zapaliwszy światło, wypoczywał znów nieruchomie, aż do wieczornego przyjścia stróżki, słuchając z przymkniętymi oczyma kropel, dzwoniących w rynnach.

Dziwnie wówczas wyglądała pracownia. Pło-

mień świecy oświecał łóżko i leżącego w niem Kamionkę, zbierając się w błyszczący punkt na jego czole, obciągniętem skórą suchą i żółtą, jakby wypolerowaną. Reszta izby pogrążała się w mroku, który z każdą chwilą czynił się gęstszy. Ale w miarę jak na dworze ciemniało, posągi stawały się coraz różowsze i nabierały życia. Płomień świecy to zniżał się, to podnosił, a w tym drgającym blasku i one zdawały się to zniżać, to podnosić, zupełnie tak, jakby wspinały się na palce, chcąc lepiej spojrzeć w wychudłą twarz rzeźbiarza i przekonać się, czy ich twórca żyje jeszcze.

I rzeczywiście była w tej twarzy pewna nieruchomość śmierci. Ale kiedy niekiedy sinawe usta chorego poruszały się lekkim ruchem, jakby się modlił, albo jakby klął swoje opuszczenie i te utrapione krople wilgoci, które zawsze tak samo równo i jednostajnie odmierzają mu godziny choroby.

Pewnego wieczoru stróżka, przyszedłszy nieco pijana, zatem rozmowniejsza niż zwykle, rzekła:

— Na mojej głowie tyle roboty, że ledwie dwa razy w dzień mogę zajrzeć. Wziąłby ot sobie panisko zakonnicę, bo siostra i nic nie kosztuje, i najlepiej choremu wygodzi.

Kamionce podobiała się ta rada, ale jak zwykle ludzie zgryźliwi miał zwyczaj sprzeciwiać się zawsze temu, co mu doradzano, więc się nie zgodził.

Jednakże po odejściu stróżki począł o tem rozmyślać. Siostra miłosierdzia!... prawda! Nic nie kosztuje, a jaka przytem pomoc i wygoda! Kamionka, jak każdy chory, pozostawiony samemu sobie, doznawał mnóstwa przykrości i walczył z tysiącami

małych nędz, które mu równie dokuczały, jak go niecierpliwily. Nieraz leżał z głową przekrzywioną niewygodnie po całych godzinach, nim się zebrał na poprawienie sobie poduszki; nieraz w nocy robiło mu się zimno, i byłby dał Bóg wie co za szklankę gorącej herbaty; ale jeśli zapalenie świecy przychodziło mu z trudem, jakże mu było myśleć o zagotowaniu sobie wody? Siostra miłosierdzia czyniłaby to wszystko ze zwykłą siostrą łagodną skwapliwością. O ileż łatwiej chorować przy takiej pomocy!

Biedaczysko doszedł wreszcie do tego, że o chorobie w takich warunkach począł myśleć, jak o czemś pożądanem i pomyślnem, i dziwił się w duszy, że nawet dla niego takie szczęście jest dostępne.

Zdawało mu się także, że gdyby siostra nadeszła i wniosła z sobą trochę wesołości i otuchy do pracowni, to może wypogodziłoby się także i na dworze, i te dzwoniące krople wilgoci przestałyby go prześladować.

Zdjął go wkońcu żal, że odrazu nie zgodził się na radę stróżki. Zbliżała się noc długa i posępna, a stróżka miała do niego zajrzeć dopiero następnego rana. Teraz zrozumiał, że ta noc będzie dla niego cięższa, niż wszystkie poprzednie.

Potem przyszło mu do głowy, jaki jednak wielki z niego Łazarz¹⁾ — i w przeciwstawieniu do dzisiejszej nędzy, dawne, szczęśliwsze lata życia stały mu jakby żywe przed oczyma. A jak przed

¹⁾ Łazarz = postać biblijna — uosobienie ubóstwa i nędzy.

chwilą myśl o zakonnicy, tak teraz wspomnienie o owych latach połączyło się znów w ten sam dziwny sposób w jego osłabionym mózgu z pojęciem słońca, światła i pogody.

Począł rozmyślać o swojej zmarłej i rozmawiać z nią, jak to miał zwyczaj zawsze czynić, gdy mu było bardzo źle. Wkońcu zmęczył się, uczuł, że słabnie, i usnął.

Świeca, stojąca na szafce nocnej, dopalała się zwolna. Płomień jej z różowego stał się błękitny, potem błysnął mocno kilkakroć i zgasł. Ciemność zupełnie objęła pracownię.

A tymczasem na dworze krople wilgoci spadały wciąż równo i tak posępnie, jakby przez nie dystylował się mrok i smutek całej natury.

Kamionka spał długo lekkim snem, lecz nagle zbudził się z jakimś dziwnym wrażeniem, że coś niezwykle się dzieje w pracowni. Na świetle był brzask. Marmury i gipsy poczęły się bielić. Szerokie, weneckie okno, leżące wprost łóżka, nasiąkało coraz bardziej bladym światłem.

W tem oświetleniu ujrzał Kamionka jakąś postać, siedzącą przy łóżku.

Otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w nią: była to siostra miłosierdzia.

Siedziała ona nieruchomie, zwrócona nieco ku oknu i z głową pochyloną. Ręce jej były złożone na kolanach — i zdawała się modlić. Chory nie mógł dojrzeć jej twarzy; widział natomiast wyraźnie białą jej kornet¹⁾ i ciemny zarys ramion, trochę wątych.

¹⁾ Czepiec zakonnicy.

Serce poczęło mu bić jakoś niespokojnie, a przez głowę przemknęły pytania:

— Kiedy stróżka mogła sprowadzić tę siostrę, i jak ona tu weszła?

Następnie pomyślał, że może z osłabienia coś mu się wydaje, i przymknął oczy.

Lecz po chwili otworzył je znowu.

Siostra siedziała zawsze na tem samem miejscu, nieruchoma, jakby pogrążona w modlitwie.

Dziwne uczucie, złożone z przestachu i z wielkiej radości, poczęło podnosić włosy na głowie chorego. Coś ciągnęło jego wzrok z niepojętą siłą ku tej postaci. Zdawało mu się, że ją już niegdyś widział, ale gdzie i kiedy? — nie pamiętał. Chwyciła go niepoahamowana chęć zobaczenia jej twarzy, ale biały kornet zasłaniał ją, Kamionka zaś, sam nie wiedząc dlaczego, nie śmiał ani odezwać się, ani poruszyć, ani prawie odetchnąć. Czuł tylko, że uczucie strachu, a zarazem radości obejmuje go coraz silniej, i ze zdumieniem pytał sam siebie: co to jest?

Tymczasem rozwidniło się zupełnie. I co za cudny poranek musiał tam być na dworze! Nagle bez żadnych przejść weszło do pracowni światło tak mocne, jasne i radosne, jakby to była wiosna i maj. Fale złotego blasku, wzbierając jak powódź, poczęły wypełniać izbę, zalewać ją tak potężnie, że marmury utonęły i rozpuściły się w tej jasności, ściany zlały się z nią, potem znikły zupełnie — i Kamionka znalazł się jakby w jakiejś świetlanej przestrzeni bez granic.

Wtem spostrzegł, że i kornet na głowie zakon-

nicy poczyną tracić swą białą sztywność, drga po brzegach, topnieje, rozplywa się, jak jasna mgła i zmienia się także w światło.

Zakonnica zwróciła zwolna twarz ku choremu — i nagle ów opuszczony nędzarz ujrzał w świetlanej aureoli ¹⁾ znajome, stokroć ukochane rysy swej zmarłej.

Wówczas zerwał się z łóżka, a z piersi jego wydarł się krzyk, w którym były całe lata łez, żalu, zmartwienia i rozpacz:

— Zosia! Zosia!

I chwyciwszy ją, tulił do siebie, a ona również zarzuciła mu ręce na szyję.

Światło napływało coraz więcej.

— Nie zapomniałeś o mnie — rzekła wreszcie — więc przyszłam i uprosiłam ci śmierć lekką.

Kamionka wciąż trzymał ją w ramionach, jakby w obawie, że błogosławione widzenie zniknie mu razem z tem światłem.

— Jam gotów umrzeć — odpowiedział — byleś została przy mnie.

Ona uśmiechnęła się do niego anielskim uśmiechem i, odejmując jedną rękę z jego szyi, wskazała nią nadół i rzekła:

— Tyś już umarł: patrz tam!

Kamionka spojrzał w kierunku jej ręki i hen, pod stopami, ujrzał przez okno w pułapie wewnątrz swej pracowni mrocznej, samotnej; w niej na łóżku leżał jego własny trup z szeroko otwartymi ustami,

¹⁾ Aureola = krąg świetlisty wokół głowy.



które w wyżółklej twarzy tworzyły jakby czarną jamę.

I patrzył na to wychudłe ciało, jak na rzecz obcą. Zresztą po chwili poczęło mu wszystko ginać z oczu, bo owa otaczająca ich jasność, jakby popychana zaświatowym wiatrem, szła gdzieś w nieskończoność...

BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA!

LEGENDA INDYJSKA.

Raz, w jasną noc księżycową, mądry a wielki Kryszna ¹⁾ zamyślił się głęboko i rzekł:

— Myślałem, że człowiek jest najpiękniejszym tworem na ziemi — i myliłem się. Oto widzę kwiat lotusu, ²⁾ kołysany nocnym powiewem. O ileż on piękniejszy od wszystkich żyjących istot: listki jego otwarły się właśnie na srebrne światło księżyca — i oczu nie mogę od niego oderwać...

— Tak, niema między ludźmi nic podobnego — powtórzył z westchnieniem.

Ale pó chwili pomyślał:

— Dlaczego bym ja, bóg, nie miał potęgą słowa stworzyć istoty, któraby była tem między ludźmi, czem lotus między kwiatami? Niech więc tak będzie na radość ludziom i ziemi. Lotusie, zmień się w żyjącą dziewicę i stań przede mną.

Zadrżała wnet leciuchno fala, jakby trącona skrzydłem jaskółki, noc rozjaśniła się, księżyc za-

¹⁾ Kryszna («Czarny») = jedno z bóstw hinduskich;
²⁾ lotus (lotos) = roślina wodna z rodziny motylkowatych, o białych, delikatnych kwiatach.

błysnął mocniej na niebie, rozśpiewały się głośniejsze nocne drozdy, a potem nagle umilkły. I czar się spełnił: przed Kryszną stanął lotus w ludzkiej postaci.

Sam bożek zdumiał się.

— Byłaś kwiatem jeziora — rzekł — bądź od-tąd kwiatem myśli mojej i przemów.

A dziewczyna poczęła szeptać tak cicho, jak szemrzą białe płatki lotusu, całowane letnim po-wiewem.

— Paniel zmieniłeś mnie w żywą istotę; gdzież mi teraz zamieszkać każesz? Pamiętaj, panie, że gdy byłam kwiatem, drżałam i tuliłam listki za każdym tchnieniem wiatrów. Bałam się, panie, nawalnych dżdżów i burzy, bałam się gromów i błyskawic, bałam się nawet palących promieni słońca. Tyś mi ka-zał być wcieleniem lotusu, więc zachowałam dawną naturę i teraz boję się, panie, ziemi i wszystkiego, co się na niej znajduje... Gdzież mi zamieszkać każesz?

Kryszna podniósł mądre oczy ku gwiazdom, przez chwilę myślał, poczem spytał:

— Chcesz żyć na szczytach gór?

— Tam śniegi i zimno, panie: boję się.

— A więc zbuduję ci pałac z kryształu na dnie jeziora.

— W głębinach wód przesuwają się węże i inne potwory: boję się, paniel!

— Chcesz stepów bez końca?

— O, panie! wichry i burze tratuja stepy na-kształt stad dzikich.

— Cóż z tobą uczynić kwiecie wcielony?... Ha!

w pieczarach Ellory¹⁾ żyją święci pustelnicy... Czy chcesz zamieszkać zdala od świata w pieczarze?

— Ciemno tam, panie: boję się.

Kryszna usiadł na kamieniu i wsparł głowę na rękę. Dziewczyna stała przed nim drżąca i przestraszona.

Tymczasem zorza poczęła rozświecać niebo na wschodzie. Ozłociła się toń jeziora, palmy i bambusy. Chórem ozwały się różowe czaple, błękitne żórawie i białe łabędzie na wodach, pawie i bengali²⁾ w lasach, a do wtóru im rozległy się dźwięki strun, nawiązanych na muszlę perłową, i słowa ludzkiej pieśni.

Kryszna obudził się z zadumy i rzekł:

— To poeta Walmiki wita wschód słońca.

Po chwili rozsunęły się firanki purpurowych kwiatów, pokrywających liany,³⁾ i nad jeziorem ukazał się Walmiki.

Ujrawszy wcielony lotus, przestał grać. Perłowa muszla wysunęła mu się zwolna z dłoni na ziemię, ręce opadły wzdłuż bioder i stanął niemy, jak gdyby wielki Kryszna zmienił go w drzewo nadwodne.

A bożek ucieszył się z tego podziwu nad własnym dziełem i rzekł:

— Zbudź się, Walmiki, i przemów.

I Walmiki przemówił:

¹⁾ Ellora = wieś w Indjach angielskich, słynna z 30 jaskiniowych świątyń buddyjskich i bramańskich; ²⁾ bengali = małe ptaki z rodziny tkaczów; ³⁾ liany = wijące się i pnące rośliny krain podzwrotnikowych.

— Kocham!...

To jedno słowo tylko pamiętał i to jedno mógł wypowiedzieć.

Twarz Krysny rozpromieniła się nagle.

— Cudna dziewczyno, znalazłem godne ciebie miejsce na świecie: zamieszkać w sercu poety.

Walmiki zaś powtórzył po raz drugi:

— Kocham!...

Wola potężnego Krysny, wola bóstwa poczęła popychać dziewczynę ku sercu poety. Bożek uczynił też serce Walmiki przejrzystym jak kryształ.

Pogodna jak dzień letni, spokojna jak fala Gangesu,¹⁾ wstępowała dziewczyna w przeznaczony dla siebie przybytek. Lecz nagle, gdy głębiej spojrziała w serce Walmiki, twarz jej pobladła i strach owionął ją, niby wiatr zimny. A Krysna zdziwił się.

— Kwiecie wcielony — spytał — czy i serca poety się boisz?

— Panie — odpowiedziała dziewczyna — gdzież mi to zamieszkać kazałeś? Otom w tem jednym sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór, i głębiny wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Ellory; więc boję się znowu, o, panie!

Lecz dobry a mądry Krysna rzekł:

— Uspokój się, kwiecie wcielony. Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłem tchnieniem wiosny, które je stopi; jeśli jest głębia wodna, bądź perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej

¹⁾ Ganges = święta rzeka Hindusów.

w niej kwiaty szczęścia; jeśli są ciemne pieczary
Ellory, bądź w tych ciemnościach słońca promie-
niem...

A Walmiki, który przez ten czas odzyskał mo-
wę, dodał:

— I bądź błogosławiona!

BIBLIOTECKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

157. SO

J.

Biblioteka Główna AP w Siedlcach

nr inw.: KG - 163

159. BY

A.

160. SO

Pr

161. BY

162. BY

sk

163. SZ

be



163

164. SŁOWACKI J. Anieli. Wyd. 3 zupełne
165. KRASIŃSKI Z. Przedświt. Wyd. 3, oprac. Jan Czubek . . 0-60
166. MICKIEWICZ A. Konrad Wallenrod. Powieść histo-
ryczna z dziejów litewskich i pruskich. Wyd. 3 . . . 0-50
167. MICKIEWICZ A. Grażyna. Wyd. 8 0-70
168. SZEKSPIR W. Sen nocy letniej. Baśń dramatyczna
w 5 aktach. Przekł. St. Koźmiana. Wyd. 3
169. ŚWIĘTOCHOWSKI AL. Hymn niemych. — Woły.
Wyd. 2 0-20
170. DYNOWSKA M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa pol-
skiego: Bielski, Górnicki, Strykowski, Paprocki . . 0-35
171. SZEKSPIR W. Hamlet. Tragedja w 5 akt. Przekł.
J. Paszkowskiego. Wyd. 2 0-90
172. SZEKSPIR W. Makbet. Tragedja w 5 akt. Przekład
J. Paszkowskiego. Wyd. 3 0-70
173. SZEKSPIR W. Romeo i Julja. Tragedja w 5 aktach.
Przekł. J. Paszkowskiego. Wyd. 2 0-70
174. SZEKSPIR W. Król Lir. Tragedja w 5 akt. Przekł.
J. Paszkowskiego. Wyd. 2 0-90
175. SZEKSPIR W. Otello. Tragedja w 5 akt. Przekład
J. Paszkowskiego. Wyd. 2 0-80
176. MOŚCICKI H. Wernyhora. — Książd Marek. Wyd. 2 . 0-25
177. CZARTORYSKI A. Katechizm rycerski. Wydał
i przedmową poprzedził H. Mościcki. Wyd. 2 . . . 0-50
178. Ustawa rządowa z dnia 3 maja 1791 r. Wydanie 3. 0-60
179. KATECHIZM NARODOWY z 1791 r. Wydał H. Mo-
ścicki. Wyd. 2 0-30
180. REYMONT WŁ. ST. Z ziemi chełmskiej. Wrażenia
i notatki. Wyd. 5 1-40
181. PRUS B. Omyłka. Wyd. 4 1-50
182. ROMANOWSKI M. Liryki 0-10
183. PRUS B. Grzechy dzieciństwa. Wyd. 3 1-40